



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Prezes Samo Dobro

Mamy czas wielkich politycznych powrotów. Myślę tu przede wszystkim o powrotach posłów Lecha Kołakowskiego i Arkadiusza Czarotoryskiego do klubu PiS, które przyćmiły i pozostawiły w głębokim cieniu odbywający się w tym samym czasie powrót Donalda Tuska na stanowisko szefa PO.

O ile z perspektywą powrotu Tuska mieliśmy czas się oswoić, bo od dawna byliśmy na to przygotowani, o tyle powrót Kołakowskiego, a zwłaszcza brawurowy powrót Czarotoryskiego (po dwunastu dniach od równie brawurowego wyjścia), zupełnie nas zaskoczyły. Chociaż jeszcze bardziej zaskoczeni mogli być Kołakowski z Czarotoryskim, którzy niewykluczone, że o tym, iż wracają, dowiedzieli się w ostatniej chwili.

W opinii prezesa PiS na powrocie Kołakowskiego i Czarotoryskiego najbardziej skorzysta Polska. Jakie korzyści ze swojego powrotu będą mieli Kołakowski z Czarotoryskim, można się domyślać. Ewentualne korzyści Polski na razie trudno oszacować, bo nikt nie wie, na co z miłości do niej Kołakowskiego i Czarotoryskiego stać poza odchodzeniem i powracaniem. Zgadzam się z prezesem PiS, że doprowadzenie do powrotu Kołakowskiego i Czarotoryskiego to olbrzymi sukces obozu rządzącego – bardzo potrzebny zwłaszcza teraz, gdy rząd



musi zburzyć elektrownię w Ostrołęce, na którą wydał miliardy, gdy padł program mieszkanie plus i projekt budowy promu w Stoczni Szczecińskiej, gdy wciąż nie udało się wbić pierwszej łopaty na budowie Centralnego Portu Lotniczego oraz nie powstał ani jeden z miliona samochodów elektrycznych, a także fabryka, w której miałyby być wyprodukowane.

Podczas transmitowanych przez TVP uroczystości powitalnych prezes PiS podkreślił kluczową rolę powracających Kołakowskiego i Czarotoryskiego w walce o odzyskanie sejmowej większości utraconej na skutek ich wcześniejszego odejścia. Prezes zapowiedział, że najważniejszym zadaniem, jakie obecnie stoi przed Polską i obozem rządzącym; zadaniem, które musi być wykonane, jeśli Polska ma nadal kroczyć drogą, którą kroczy do tej pory, będzie skłonienie do powrotu jeszcze kogoś poza Kołakowskim i Czarotoryskim.

W partii rządzącej podkreśla się, że oba powroty ukazały wielkie dobro prezesa Kaczyńskiego, który odejście z klubu PiS Kołakowskiego i Czarotoryskiego zgodził się wybaczyć i pozwolił im wrócić. Dobro prezesa Kaczyńskiego jest naszym wspólnym polskim dobrem, w przeciwieństwie do Donalda Tuska, który, jak ujawniły „Wiadomości” TVP, jest dobrem poniemieckim.



Szampański Sylwester w Moskwie

Zobacz Moskwę w jej zimowo-świątecznej odstonie i przywitaj Nowy Rok z kieliszkiem szampana i Sowietskoje Igristoje w dłoni.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Moskwy. Zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 2** Zwiedzanie Placu Czerwonego, Soboru Wasyla Błogostawionego i Kremla. **Dz. 3** Zwiedzanie dzielnicy Zamoskworieczje oraz Cerkwi Św. Klemensa. Wizyta w Państwowej Galerii Tretiakowskiej. Kolacja sylwestrowa w hotelu. **Dz. 4** Wzgórza Worobiowe, metro, ulica Arbat. **Dz. 5** Wylot do Polski.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2022 | **4.398,-**



#WspomnieniaAlbatros



Bergen i norweskie fiordy

Udaj się do najpiękniejszych miejsc w kraju wikingów. Zobacz majestatyczne fiordy, góry rzeźbione lodowcem i wodospadami oraz klimatyczne miasteczka Norwegii.

Program wycieczki: **Dz.1** Wylot z Warszawy do Oslo. Przejazd do Hamar. **Dz. 2** Hamar - Lillehammer - Droga Trolli-Geiranger. Skocznia w Lillehammer, dolina Gudbrandsdalen. **Dz. 3** Geiranger - Hellesylt - Sognefjorden - Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie z Geiranger do Hellesylt. **Dz. 4** Bergen - Gudvangen - Flåm - Geilo. Spacer po Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie między Gudvangen i Flåm. **Dz. 5** Geilo - Oslo. Zwiedzanie Oslo, ulica Karl Johan i park Frognerparken. **Dz. 6** Czas wolny. Wylot z Oslo do Warszawy.

6 dni | Wylot z Warszawy 30/06, 25/08 2022 | **4.898,-**



Zorza polarna na Grenlandii

Wybierz się z nami na Grenlandię i zobacz najbardziej widowiskowe zjawisko atmosferyczne jakim jest zorza polarna.

Program wycieczki: **Dz.1** Przelot z Polski do Danii, spacer po Kopenhadze. **Dz. 2** Przelot na Grenlandię. Zwiedzanie Ilulissat i kolacja w hotelu. **Dz. 3** Rejs do fiordu Ilulissat, wpisane na listę UNESCO. Zorza polarna i grenlandzka kawa. **Dz. 4** Oqaatsut - wycieczka łodzią, zwiedzanie i lunch. **Dz. 5** Piesza wędrówka do osady Sermermiut u ujścia fiordu Ilulissat. **Dz. 6** Przelot Ilulissat - Kangerlussuaq. Wycieczka samochodami terenowymi na lądolód grenlandzki i punkt 660. Kolacja w Røkkuben. **Dz. 7** Przelot do Kopenhagi. Nocleg w hotelu. **Dz. 8** Powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 10/11 2021, 02/02, 09/02 2022

14.998,-

Rezerwuj bez ryzyka - Gwarancja Bezpieczeństwa Albatros przy rezerwacji do 31 sierpnia 2021! Możliwość bezkosztowej anulacji i zwrot wpłaconej zaliczki lub zmiana rezerwacji na inną podróż. A to wszystko do 60 dni od założenia rezerwacji! Szczegóły na www.albatros.pl

Warszawa, ul. Marszałkowska 74
Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL25

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Wolne i powolne



Jerzy Baczyński

Po co oni to robią? Nasze cotygodniowe pytanie tym razem zawiśło nad tzw. Lex TVN, czyli wrzuconym nocą do Sejmu projektem ustawy, która, gdyby przeszła, mogłaby oznaczać koniec niezależnej telewizji TVN i jej kanału informacyjnego TVN24. Myślę, że większość naszych czytelników znajduje się w grupie 4,5 mln widzów TVN24 i „Faktów” TVN, więc o sprawie wie, bo w mediach się po tej wrzutce zagotowało. (Prawny kontekst Lex TVN opisujemy na s. 7). Część komentatorów uważa zresztą, że chodziło właśnie o to, żeby media ruszyły w pogon za nową kością, zostawiając dopiero co nadgryzane tematy nepotyzmu w PiS, wycieku maili ministra Michała Dworczyka czy następstw powrotu Donalda Tuska do polityki. Jeśli taka była intencja, to wyszło słabo – wolne media robią swoje (tu odsyłam choćby do naszego okładkowego artykułu o „państwie Sobolewskich”), choć oczywiście atakiem na TVN wszyscy się przejęli, bo to jednak bardzo groźna próba zastraszenia wydawców i nadawców.

Niezastąpiony poseł Marek Suski, firmujący tę nowelizację, sam zresztą na spotkaniu lojalnych Klubów Gazety Polskiej odstąpił intencje autorów projektu – ośmieszając przy okazji samego premiera, który powtarzał propagandowe głupstwa o konieczności ochrony polskich mediów przed Rosją czy Arabami. Suski potwierdził, że adresatem ustawy jest TVN, a plan jest taki, żeby – groźbą utraty koncesji, czyli całego biznesu – zmusić amerykańskich właścicieli do sprzedaży udziałów na rzecz państwowego koncernu lub w ręce podstawionego biznesmena. I wtedy, mówi poseł Suski, „będziemy mieli jakiś tam wpływ na to, co się dzieje w TEJ telewizji”. Jest też chyba w rezerwie plan minimum: niech się TVN spróbuje z nami dogadać. Sygnały zostały wysłane.

Niby to nic nowego. Walka władzy z niezależnymi mediami toczy się z różną intensywnością i różnymi metodami od 2015 r., kiedy to PiS po wygranych wyborach zapowiedział wprowadzenie ustawy o „repolonizacji” mediów. Prawniczo było to karkołomne, więc PiS skupił się w pierwszej kadencji na całkowitym podporządkowaniu sobie tzw. mediów publicznych. Media niepodporządkowane były systematycznie odcinane od reklam spółek państwowych, od informacji, dostępu do polityków i dokumentów publicznych, ignorowane, zastraszane kosztownymi procesami. Po sprawie Dworczyka rzecznik rządu zapowiedział już kolejną ustawę o „przeciwdziałaniu dezinformacji”, która miałaby chronić władzę przed rozpowszechnianiem w mediach negatywnych – jak można się domyślać – informacji. Na ostatnim kongresie PiS prezes Kaczyński mówił zresztą otwarcie, że to przez „dezinformację” program Polski Ład nie jest takim sukcesem, jakim miał być. Szczególnym celem ataków był od początku TVN, uważany w PiS za bastion opozycji, przede wszystkim z powodu (znakomitego – to mój dopisek) dziennikarstwa śledczego, przodujących w oglądalności „Faktów”, kpiącego z władzy „Szkła kontaktowego”. Na stację nakładano kary, szykowano jakieś oferty wykupu (co ujawnił biznesmen Leszek Czarnecki); głównie w TVN miał uderzać niedawny projekt ustawy o podatku od przychodów reklamowych; teraz sięgnięto po broń koncesyjną.

Kaczyński nigdy nie ukrywał niechęci, wręcz pogardy, wobec mediów czy dziennikarzy uważających się za niezależnych. Dla prezesa PiS w ogóle nie ma czegoś takiego jak wolne, autonomiczne

instytucje, wypełniające jakąś publiczną misję – to zawsze są konkretne osoby mające swoje interesy, układy i uwikłania, wykonawcy poleceń, którzy czasem dorabiają do swojego oportunistycznego szlachetnego, pustego racjonalizacji. W strasznym świecie Kaczyńskiego właściwie nikt nie jest godzien szacunku. Lex TVN jest więc przejawem tego samego sposobu myślenia, który obserwujemy w stosunku władzy do sądów, prokuratury, samorządów, uczelni, konstytucyjnych urzędów, organizacji społecznych – jest próbą złamania niezależności, wyłączenia kolejnego instrumentu kontroli władzy.

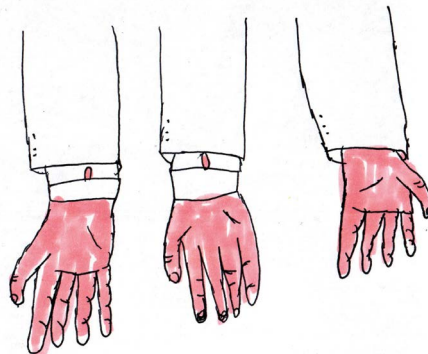
Spełnieniem wyobrażeń Kaczyńskiego o mechanizmie działania mediów jest TVP Jacka Kurskiego: ma ona oczywiście dysponenta, który po prostu rozkazuje funkcjonariuszom, rozlicza ich z gorliwości i dobrze płaci (właśnie Onet opisał sprawę transferu przez spółki państwowe kilku milionów złotych na konto firmy „dziennikarza” TVP Info). Jeśli inne redakcje i dziennikarze twierdzą, że u nich jest inaczej, a właściciel im nie dyktuje, co i jak mają pisać i pokazywać, to kłamią. Jak u Orwell: patologia to norma, uczciwość to poza; nie ma mediów wolnych, są tylko takie, które realizują czyjąś wolę, czyli – jak mówili nasi przodkowie – powolne. Jeśli popatrzeć na niebываły wręcz atak TVP na Donalda Tuska, na kłamstwa, manipulacje, szcucie, po jakie „Telewizja Polska” sięga – zobaczymy na ekranie projekcję poglądów Kaczyńskiego na rolę mediów; Kurski podstawia mu tylko szklane lustro.

Jednak tym razem sprawa ma dodatkowy poważny aspekt: dotyczy bezpośrednio polityki zagranicznej, a zwłaszcza stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Administracja Joe Bidena już wysłała czytelne sygnały, że zmiana prawa, skierowana przeciwko inwestycji amerykańskiej w Polsce (TVN jak wiemy jest własnością koncernu Discovery, wkrótce koncernu WarnerMedia), wpłynie negatywnie na obraz Polski w USA. Prasa amerykańska już ma używanie na „autorytarnych rządach Kaczyńskiego” i stawia nasz kraj, jak uczynił to choćby wpływowy miesięcznik „Foreign Affairs”, obok wątpliwych sojuszników, „Turcji, Filipin czy Wietnamu”. Jeśli akcja pod TVN była jakimś małym „asertywnym” odwetem na Ameryce Bidena za jawnie niechętny stosunek do rządu PiS – pokazaniem, że jak wy tak, to my tak – wysłał jedynie groźną bufonadę.

W ogóle tzw. polityka zagraniczna PiS wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy: złe stosunki mamy właściwie ze wszystkimi sąsiadami, z Niemcami – chłodne jak nigdy od 30 lat; dziwny pakt Kaczyńskiego ze skrajnymi partiami pravicowymi dodatkowo zraził do polskiego rządu i Francję Macrona, i Hiszpanię, i rząd włoski; z Unią Europejską szykują się kolejne wstrząsy; teraz poszliśmy na wojenkę z Ameryką, osłabiając naszą pozycję w NATO. Początkowe pytanie: po co oni to robią? – w sumie nie ma wielkiego znaczenia. Ważniejsze: jak długo jeszcze? I czy już teraz da się ograniczyć szkody?

Jan Koza

POLSKIE RĘCE CHĘTNE
DO PRZEJĘCIA TVN



Lex TVN: rozbój w biały dzień

To z całą pewnością zamach na wolność mediów w Polsce i to za pomocą państwowego rozboju. Ale też złamanie traktatu pomiędzy Polską i USA o wzajemnej ochronie inwestycji.

Najpierw spóźnianie – już przez 15 miesięcy – odpowiedzi KRRiT na wniosek TVN o przedłużenie koncesji, która kończy się we wrześniu. Teraz – wniesiona nagle przez posłów PiS nowelizacja ustawy o radiofonii i telewizji, według której podmioty spoza UE nie będą mogły być nawet pośrednio właścicielami więcej niż 49 proc. medium audiowizualnego w Polsce. To Lex TVN, bo właścicielem stacji – przez holenderskiego pośrednika – jest amerykański koncern Discovery. Marek Suski przyznał, że chodzi o zmuszenie Amerykanów do sprzedaży firmy lub odsprzedaży części udziałów. Działania już podjęte: kłopoty z koncesją i zmiana prawa w sposób oczywisty mają na celu obniżenie wartości TVN – tak, by udało się stać tanio kupić.

Politycy PiS tłumaczą, że w niektórych krajach UE są regulacje ograniczające udział w mediach kapitału zagranicznego spoza Unii. Rzeczywiście są. Ale tu mamy do czynienia z nagłą, niespodziewaną zmianą przepisów głęboko ingerującą w już poczynioną przez amerykańską firmę inwestycję – w dodatku wprost łamiącą traktat o wzajemnej ochronie inwestycji. Odmowa przedłużenia koncesji – tak bez zmiany prawa, jak i w wyniku jego zmiany – łamie zasadę ochrony inwestycji. Gwarantuje ona, że inwestycje amerykańskie w Polsce – i polskie w USA – będą chronione przed wywłaszczeniem i dyskryminacją oraz będą cieszyć się najbardziej korzystnymi warunkami, jakie kraj daje podmiotom zagranicznym. To tzw. klauzula najwyższego uprzywilejowania. Tak więc PiS w dążeniu do przejęcia TVN grozi złamaniem umowy z USA, naraża polskich inwestorów



w USA na retorsje, a może też na zawieszenie przez Stany wobec Polski klauzuli najwyższego uprzywilejowania.

Realna jest również groźba, że Discovery przed międzynarodowym arbitrażem będzie się ubiegać o odszkodowanie. Dowodem na dyskryminacyjne potraktowanie inwestycji koncernu będzie uzasadnienie pisowskiej nowelizacji: że chodzi o przeciwdziałanie „obserwowanemu w ostatnim czasie zwiększeniu zagrożenia dla interesów państwa wynikającemu z tzw. działań hybrydowych państw trzecich”.

Punktem wyjścia do odszkodowania będzie wartość TVN przed machinacjami z koncesją

i – według niej naliczone – utracone przez Discovery korzyści. Wszystko razem może sięgnąć miliardów dolarów. Jeśli więc nawet PiS-owi – przez jakąś spółkę Skarbu Państwa (np. Orlen) czy zaprzyjaźnioną telewizję braci Karnowskich – uda się tanio kupić TVN, to faktyczny koszt tej transakcji będzie daleko większy. I płacony z naszych kieszeni.

Metodę stosowaną tu dla obniżenia wartości szykowanej do przejęcia spółki mec. Wojciech Kozłowski z warszawskiego oddziału międzynarodowej kancelarii prawnej Dentons nazywa państwowym reketem, czyli wymuszeniem na właścicielu wyprzedaży legalnie funkcjonujących i dochodowych przedsiębiorstw. Ten sam mechanizm zastosował rząd wobec sieciowych aptek prowadzonych przez podmioty zagraniczne: zaostriżył warunki koncesji, co spowodowało spadek ich wartości. Potem oferty kupna zgłaszali powiązani z władzą przedsiębiorcy. Metodę na koncesję stosują i Putin, i Orbán.

Zamachem na wolność mediów w Polsce zainteresowała się już Komisja Europejska – w ramach postępowania w sprawie ochrony praworządności. Art. 11 Karty Praw Podstawowych UE gwarantuje wolność wypowiedzi i informacji. I stanowi: „Szczególnie się wolność i pluralizm mediów”.

EWA SIEDLECKA

Stalkerzy sędziego Żurka

Gdyby robił to pojedynczy człowiek, odpowiadałby karnie za stalking. Sędziemu **Waldemarowi Żurkowi** robi to państwo. Używa do tego służb specjalnych, prokuratury, przełożonych sędziego, rzeczników dyscyplinarnych, a ostatnio Izby Kontroli Nadzwyczajnej SN.

W sprawie sędziego Żurka wszczęto 11. postępowanie dyscyplinarne (!). Wcześniej jednak sędzia może zbankrutować, bo właśnie dzięki skardze nadzwyczajnej prokuratora generalnego Ziobry IKN SN odwróciła prawomocny wyrok w jego sporze majątkowym z byłą żoną. A wcześniej sprawa przeszła przez trzy instancje (łącznie z SN) i wszystkie orzekły na korzyść sędziego.

Szykanowanie sędziego zaczęło się na początku rządów PiS – wówczas był jeszcze rzecznikiem KRS. Grożono mu, przecięto opony w samochodzie, dom rodziców obrzucono jajkami. Prokuratura zajęła się sprawą wbrew jego woli, chciała kontroli jego telefonu i komputera; funkcjonariusze wtargnęli na posiedzenie KRS, by wręczyć

mu wezwanie na przesłuchanie. Dziś jedno z jego postępowań dyscyplinarnych dotyczy tego, że fałszywie skarżył się na zastraszanie.

CBA zajęło się lustracją jego oświadczeń majątkowych. Nachodzono sędziego i jego drugą – ciężarną wówczas – żonę w domu, co kobieta bardzo przeżywała. Córeczka sędziego urodziła się z ciężką wadą serca. Doszukano się niezapłaconia podatku od sprzedaży 37-letniego traktora. Teraz sędzia ma za to postępowanie dyscyplinarne.

Po przejęciu władzy przez nominatów ministra Ziobry w macierzystym sądzie sędziego przeniesiono go do innego wydziału i obarczono podwójnymi obowiązkami, nie przyznając początkowo pomocy sekretarskiej i asystenckiej. Ma postępowanie dyscyplinarne za to, że w czasie gdy odwołał się od tej decyzji, nie wykonywał obowiązków w nowym wydziale. Kiedy był na urlopie, a potem na zwolnieniu z powodu opieki nad chorą córką, cały czas przydzielano mu nowe sprawy, żeby nie mógł

się spod nich wygrzebać. Właśnie rzecznik dyscyplinarny zażądał akt jego spraw z kilku lat i szuka przewlekłości czy innych uchybień.

Na sądowym korytarzu najechała na sędziego maszyna sprzątająca. Skończyło się operacją kolana. Władze sądu utrudniają mu jednak wystąpienie o odszkodowanie za wypadek w pracy. Sprawą interesuje się prokuratura i niewykluczone, że skończy się zarzutem próby wyłudzenia odszkodowania.

Najnowsze postępowanie dyscyplinarne dotyczy rzekomych gróźb pod adresem wiceprezesa sądu sprzed trzech lat. Sędzia miał do niego na korytarzu powiedzieć, że jak on zostanie ministrem, to wiceprezes będzie siedział (sędzia Żurek temu zaprzecza). Ma dwa postępowania dyscyplinarne za kwestionowanie, że Kamil Zaradkiewicz jest pełnoprawnym sędzią SN. Inne postępowanie dotyczy wywiadu dla „Gazety Wyborczej”, w którym powiedział m.in., że „schyłkowa komuna nie pamięta takich szykan”. Nie tylko schyłkowa. (ES)



Czy służby włamały się na popularne komunikatory?

Zbigniew Ziobro stwierdził, że polskie służby, w tym prokuratura, mają dostęp do rozmów z komunikatorów takich jak WhatsApp czy Signal. Odnosił się w ten sposób do sprawy Sławomira Nowaka, którego podejrzewa się o przyjęcie korzyści majątkowych i kierowanie grupą przestępczą. Czy to oznacza złamanie szyfrowania tych – popularnych także wśród polityków opozycji – aplikacji?

Korzystanie z szyfrowanej komunikacji, jaką oferują Telegram, WhatsApp czy Signal, to wciąż najbezpieczniejsza – poza osobistym spotkaniem – forma wymiany informacji czy wiadomości. Nie oznacza to, że niemożliwa do przejęcia, bowiem żaden komunikator nie zapewnia stuprocentowej poufności. Złamanie szyfrowanej komunikacji używanej przez Signala jest bardzo trudne ze względu na otwarty kod źródłowy i możliwość sprawdzania potencjalnych niebezpieczeństw (tzw. backdoorów) przez użytkowników, w tym informatyków. Dodatkowo Signal zbiera o użytkownikach minimum informacji. Jego twórcy nie mają dostępu np. do kontaktów, co oznacza, że nie wiedzą nawet, z kim i kiedy korespondujemy. Z podobnego szyfrowania korzysta WhatsApp, ale należący do Facebooka komunikator zbiera jednak pewne metadane – takie jak to, z kim i jak często rozmawiamy. Na podstawie takich informacji organy ścigania mogą wyciągnąć pewne wnioski.

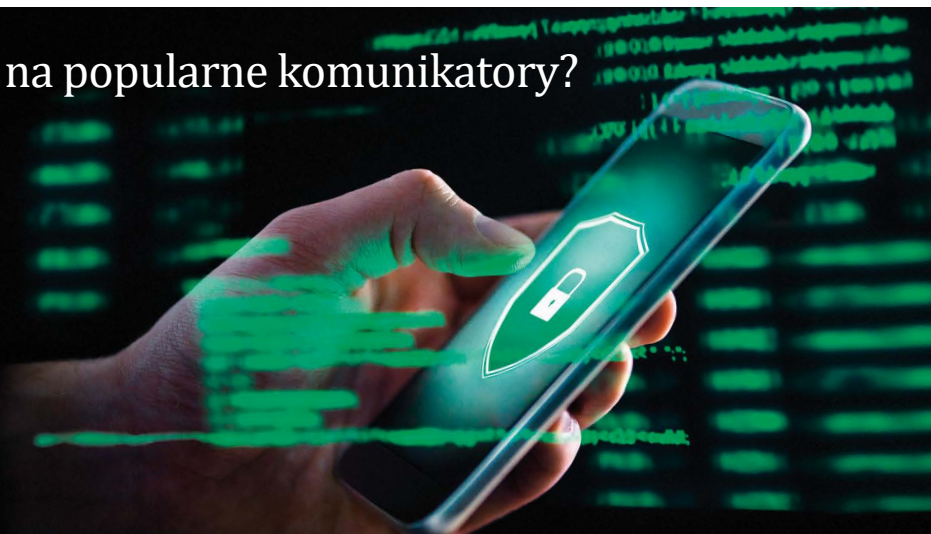
Ze względu na ograniczenia licencyjne i koszty mało prawdopodobne wydaje się jednak wykorzystanie Pegasusa, dzięki któremu można śledzić wszystko, co dzieje się ze smartfonem. Jak zatem służby weszły w posiadanie korespondencji?

W tym konkretnym przypadku najprawdopodobniej mamy do czynienia z czynnikiem ludzkim. Funkcjonariusze mogli uzyskać dostęp do źle zabezpieczonego telefonu poprzez rozpoznanie pinu zabezpieczającego bądź wzoru na ekranie smartfona. Po uzyskaniu dostępu służby mogą korzystać z aparatu tak jak jego właściciel. Większość użytkowników nie poświęca też należytej uwagi ustawieniom bezpieczeństwa w telefonie bądź komunikatorze.

A umożliwiają one np. usuwanie konwersacji w komunikatorach po określonym czasie. Co więcej, część użytkowników tworzy kopie zapasowe czatów, które przechowywane są już poza szyfrowanym środowiskiem.

Inną możliwością w tej sytuacji mogło być też ujawnienie korespondencji przez kogoś z podejrzanych. To szczególnie prawdopodobne, jeśli komunikacja odbywała się nie między dwiema osobami, lecz w większej grupie.

Polskie organy ścigania niemal na pewno nie złamały też zabezpieczeń, którymi komunikatory chronią swoich użytkowników. Ziobro chce jednak stworzyć wrażenie, że służby mogą kontrolować korespondencję nawet na uchodzących za bezpieczne komunikatorach. (KT)



Bunt u Czarzastego

Do **Włodzimierza Czarzastego** 7 lipca trafił list podpisany przez 17 parlamentarzystów klubu Lewicy – szesnastu posłów byłego SLD oraz senatora Wojciecha Koniecznego z PPS. Był on reakcją na zawieszenie przez lidera Nowej Lewicy dwójki śląskich radnych oraz szefa tamtejszych struktur, europoła i wiceprzewodniczącego partii **Marka Balta**.

Czarzasty argumentował, że radni wielokrotnie głosowali razem z PiS, a ostatnio poparli udzielenie absolutorium i wotum zaufania kontrolowanemu przez partię rządzącą zarządowi województwa, zaś Balt na to nie zareagował.

Parlamentarzyści w liście stwierdzili, że „taki zarzut sformułowany przez architekta negocjacji z PiS w sprawie Krajowego Planu Odbudowy zawiera w sobie potężny ładunek komiczny”. Zażądali zwołania zarządu partii poszerzonego o liderów regionalnych oraz posłów i europosłów nie później niż do 10 lipca, apelując o „szczerą rozmowę i wspólne działanie”. Ten postulat nie został jednak spełniony, a zarząd zgodnie z planem zbierze się tydzień później.

Zawieszenie Balta, uznanego za jednego z czołowych przeciwników Czarzastego, zmobilizowało buntowników, ale źródła niezadowolone w partii są głębsze. Pierwszym jest fakt, że lider Nowej Lewicy wszedł w negocjacje z PiS w sprawie KPO. Jego przeciwnicy twierdzą, że zarzuty w tej sprawie często pojawiają się na spotkaniach z wybor-



cami, a Czarzasty nie skonsultował tej decyzji dostatecznie z innymi członkami władz partii. Drugim źródłem napięcia jest kończąca się po ponad półtora roku proces połączenia dawnego SLD z Wiosną. Formacja Roberta Biedronia podjęła 11 czerwca decyzję

o samorozwiązaniu, a jej działacze mają stworzyć jedną z dwóch frakcji we wspólnej partii. Każda z nich ma mieć swojego współprzewodniczącego (domyślnie Czarzastego i Biedronia); podobna dwuwładza obowiązywać będzie na poziomie wojewódzkim. Wielu działaczy dawnego SLD uważa, że taki podział władzy faworyzuje Wiosnę, której struktury są znacznie mniejsze.

Niechętni Czarzastemu działacze domagają się zwołania na 11 września konwencji partii – w czerwcu lider przegrał głosowanie w tej sprawie na radzie krajowej. Oficjalnie konwencja miałaby przede wszystkim uczcić dokonania SLD, ale buntownicy chcą zmienić na niej statut tak, by ograniczyć wpływ Wiosny we wspólnej partii. Przeciwnicy Czarzastego myślą też o powołaniu przynajmniej jednej dodatkowej frakcji w Nowej Lewicy. To jednak bardzo trudne, bo do jej stworzenia potrzeba 500 osób, a decyzję zatwierdza zarząd partii większością 3/4. Nie jest jasne, czy dysponuje nią obecnie którakolwiek ze stron sporu. Sposób, w jaki sytuacja się rozstrzygnie, zaważy na całości procesu zjednoczeniowego oraz jedności klubu Lewicy. (RL)

Tusk vs. Kaczyński: starcie moralne

Marek Migalski

Politolog, publicysta, prof. UŚ. Kiedyś polityk, a ostatnio wykładowca i pisarz.



Przez długie lata Jarosław Kaczyński przenosił spór polityczny na poziom moralny. O ile jego przeciwnicy starali się utrzymać rywalizację partyjną na obszarze starcia idei czy nawet interesów, on bezceremonialnie przedstawiał walkę między swoim obozem a jego przeciwnikami jako wojnę dobra ze złem, dobrych ludzi z ludźmi złymi.

Nie wahał się nazywać konkurentów gorszym sortem, złodziejami, kanalami, targowicą, zdrajcami, a nawet mordercami. Wydawało się, że jest to przejaw jego niezrównoważenia psychicznego i emocjonalnego rozchwiania. A prawda jest inna – to przeniesienie rywalizacji politycznej na poziom moralny na stałe wiązało z PiS miliony wyborców, którzy, nie potrafiąc oceniać argumentów ekonomicznych czy ustrojowych, świetnie czuli się w świecie jasnych wyborów etycznych i ostrych podziałów aksjologicznych. Zwłaszcza jeśli w tym starciu Kaczyński zapewniał im miejsce po jasnej stronie mocy.

Powrót Donalda Tuska do polskiej polityki odebrał wicepremierowi ds. bezpieczeństwa monopol na tę technikę. Były szef RE w pierwszych słowach po ogłoszeniu decyzji o ponownym staniu na czele PO określił rządy PiS jako władzę złych ludzi. Nie „złych, ale...”, lecz po prostu złych. Zaś to, co obecny rząd robi, ujął w proste (co nie znaczy fałszywe, wprost przeciwnie) schematy rozkradania państwa, nepotyzmu, złodziejstwa. Zastosował zatem mechanizm opisu rzeczywistości wprost odwołujący się do emocji. Do silnych emocji.

Z moich kilkuletnich studiów nad neurobiologicznymi i kognitywistycznymi mechanizmami zachowań społecznych wynika kilka

wniośków, które staram się publikować w swoich książkach („Homo Politicus Sapiens”, „Nieludzki ustrój”), ale najważniejszym z nich jest to, że jesteśmy – jako ludzie – przede wszystkim emocjonalni, a nie racjonalni. Nasze strategie poznawcze bazują bardziej na tym, co czujemy, niż na tym, co myślimy. Mówiąc skrótem: łatwiej nam coś poczuć, niż obliczyć (także dlatego, że jako rodzaj ludzki „czujemy” już trzy miliony lat, a matematyką posługujemy się zaledwie kilka tysięcy lat).

Obecnie na świecie nikt już nie ma wątpliwości, że uprawianie polityki w oparciu o fakty i dane skazuje podejmujących się tego śmiałków na porażkę, natomiast bazowanie na emocjach przynosi zyski i profity wyborcze. Na emocjach pozytywnych oraz – przede wszystkim – negatywnych. Przez miliony lat naszej człowieczej i przedczłowieczej ewolucji te ostatnie były nawet ważniejsze, bo ratowały naszych przodków przed wpadnięciem w paszczę lwa lub pod grad kamieni innego ludzkiego plemienia. Dlatego jesteśmy na nie szczególnie uwrażliwieni.

Ostatnie lata opozycja jakby wstydziła się uznać te prawdy. Z iście oślim uporem apelowała tylko do racjonalnej sfery naszej psychiki. Tusk zdaje się o wiele lepiej rozumieć podstawy neuropolityki i dlatego podjął rzuconą przez Kaczyńskiego rękawicę. On także na naszych oczach zmienia spór polityczny w starcie moralne – o wiele lepiej rozumiane przez wyborców i o wiele bardziej ich angażujące.

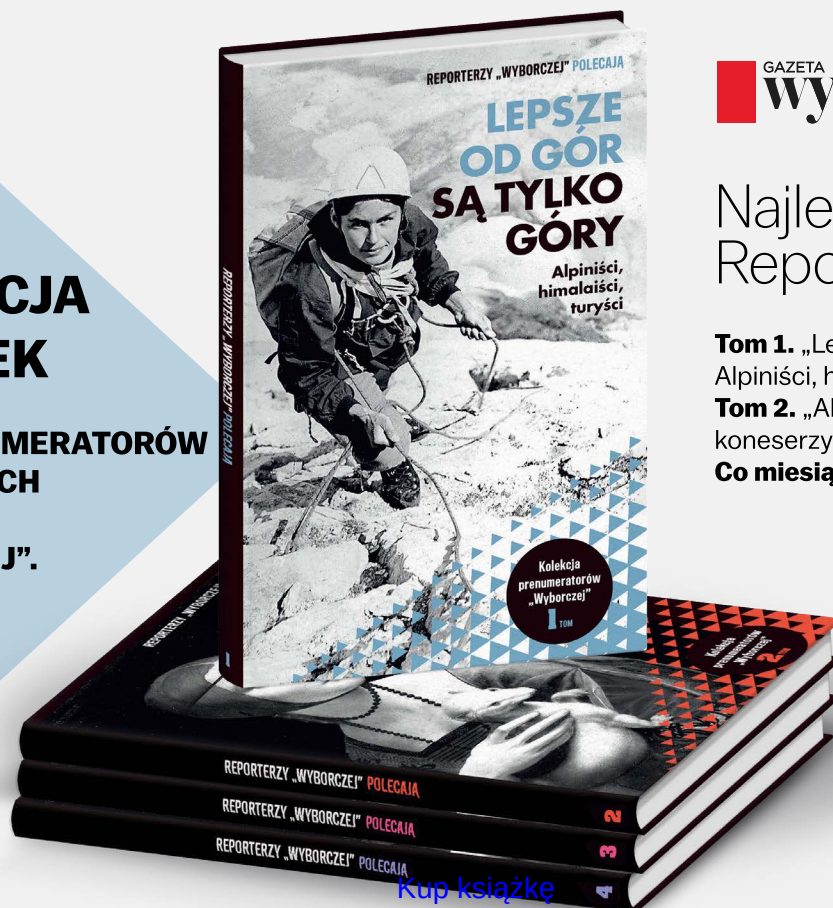
Gdy w połowie ubiegłego stulecia kandydat Demokratów Adlai Stevenson ubiegał się o urząd prezydenta USA, po jednym z wieców podeszła do niego pewna kobieta i powiedziała: „Każda myśląca osoba zgłasza się na pana”. Gubernator odrzekł ze smutkiem: „Niestety, droga pani, potrzebuję większości”.

Tusk rozumie, że aby pokonać Kaczyńskiego, potrzebuje nie tylko racji i racjonalnych powodów ku temu. Potrzebuje większości.

REKLAMA

NOWA KOLEKCJA KSIĄŻEK

**DLA PRENUMERATORÓW
TECZKOWYCH
„GAZETY
WYBORCZEJ”.**



GAZETA
wyborcza

Najlepsze Reportaże

Tom 1. „Lepsze od gór są tylko góry. Alpinści, himalaisci, turyści”

Tom 2. „Ale sztuka! Arcydzieła, koneserzy, marszandzi i fałszerze”

Co miesiąc nowa książka w prezencie

Zapytaj
o prenumeratę
teczkową
w swoim punkcie
sprzedaży prasy

Kup książkę



Włochy da się lubić

Jeśli wielkie turnieje mają służyć reklamie piłki nożnej, tegoroczne mistrzostwa Europy spełniły swoją rolę.

Futbolową atrakcyjność mierzy się liczbą strzelonych goli (Euro 2020 było rekordowe – 142), ich urodą, intensywnością gry, odwracaniem teoretycznie nieodwracalnego, narodzinami nowych gwiazd oraz sensacyjnymi rozstrzygnięciami. Tym razem postarali się o to Czesi (wyrzucając Holendrów) i Szwajcarzy (eliminując po fantastycznej pogoni mistrzów świata Francuzów), a Węgrzy o mały włos już w fazie grupowej nie pogrążyli Niemców.

Mistrzostwo Europy dla Włochów

– po zwycięstwie nad Anglią rzutami karnymi – zostało dość zgodnie przyjęte jako zasłużone. To nowość. Włochy, kraj wielowymiarowego piękna, gdy przychodziło do futbolu, przez dekady pokazywały swoją brzydką twarz. Grać po włosku to znaczyło uprawiać antyfutbol, ze szczególnym naciskiem na uprzykrzanie przeciwnikom życia zestawem licznych chwytów poniżej pasa, czego symbolem na zawsze pozostanie już prowokacja, jakiej w finale mundialu 2006 r. padł ofiarą Zinedine Zidane. Francuzowi puścili wówczas nerwy i dostał czerwoną kartkę, a Włosi, ku powszechnemu zgorszeniu, zostali mistrzami świata.

Futbolowe lata chude zwieńczone wstydliwą nieobecnością na poprzednim mundialu spowodowały jednak we włoskiej drużynie narodowej rewolucję. Wymyślili się na nowo, kładąc nacisk na polot i ofensywną kreatywność, a w nagrodę, oprócz tytułu mistrzów Europy, zyskali sympatię kibiców. Przed finałem przechylała się ona zdecydowanie w ich stronę również z powodu nadzwyczajnego uprzywilejowania

Anglików. Kuriozalna formuła ulokowania meczów w jedenastu europejskich miastach przeformułowana przez poprzedniego prezydenta UEFA Michela Platini'ego zmuszała uczestników mistrzostw (oraz ich kibiców) do spędzania długich godzin w podróży – zwłaszcza jeśli miało się pecha trafić na zesłanie do Baku – a tymczasem Anglicy sześć z siedmiu spotkań zagrali na Wembley.

Co ta przewaga znaczy w praktyce, zobaczyliśmy w ich półfinałowym meczu z Danią. Zmuszeni wcześniej do gry w stolicy Azerbejdżanu Duńcy (już w pierwszej fazie mistrzostw ciężko doświadczeni chwilami dramatycznej niepewności i strachu, gdy na boisku trwała walka o życie Christiana Eriksena, któremu nagle zatrzymało się serce) mniej więcej od początku drugiej połowy sianili się na nogach. To, że przegrali w dogrywce, po wydumanym rzucie karnym, wzmocniło tylko poczucie, iż Anglicy tym razem dysponują zestawem pozaboiskowych przywilejów korzyści, dzięki którym mają sobie podleczyć poczucie wielkiego turniejowego niespełnienia.

Jak na kraj mieniący się ojczyzną futbolu i od lat posiadający najbogatszą, najbardziej atrakcyjną oraz najmocniejszą ligę świata ich dorobek na mistrzowskich imprezach jest bowiem wyjątkowo mizerny. Ale na przeszkodzie, jak to często w sporcie bywa, stanął czynnik ludzki: trzech młokosów delegowanych do strzelania rzutów karnych nie wytrzymało presji. Święto zamieniło się w stypę, a na nieszczęsnych wykonawców jedenastek (którzy są czarnoskórzy) rzucili się z internetowym hejtem rasiści. I znów wyszło na jaw, jak łatwo futbol budzi demony.

Obecny prezydent UEFA Aleksander Čeferin przyznał, że paneuropejski turniej piętrzył niepotrzebne trudności i ewidentnie faworyzował niezmuszonych

do podróżowania, ale że odziedziczył tę formułę po swym poprzedniku Platinim z dobrodziejstwem inwentarza, nic już nie mógł zmienić. Jako jedyną zaletę wskazywano to, że w trwającym przecież pandemicznym stanie nadzwyczajnym najazd od jednego kraju gospodarza setek tysięcy kibiców, którzy w przerwach od meczów prowadzą wybitnie rozrywkowy tryb życia, pociągnąłby za sobą w bardzo niedalekiej przyszłości rozproszone detonacje epidemicznych bomb.

Wbrew obawom pandemia nie sparaliżowała jednak turnieju, dzięki obecności kibiców na trybunach wrócił powiew normalności (który za chwilę zniknie, bo nadchodzące igrzyska w Tokio będą się toczyć bez udziału publiczności) i na razie nie słychać, by tłumna obecność na stadionach spowodowała rozlewanie się kolejnej pandemicznej fali. Czemu zresztą przysłużyła się zaordynowana w trybie nagłym prewencja, czyli kierowanie na kwarantannę powracających z meczów kibiców. Przerabiali to również polscy fani wracający z Petersburga, po ostatnim meczu grupowym ze Szwecją. Będącym równocześnie naszym smutnym pożegnaniem z turniejem.

Kolejne mistrzostwa Europy, już w tradycyjnej formule, zaplanowane są w 2024 r. w Niemczech, a mundial za półtora roku w Katarze. W kuriozalnym zimowym terminie, ale inaczej się nie da, bo latem jest tam jak w piecu. Apele o bojkot katarskich mistrzostw (gdzie na budowach stadionów zginęło już 6,5 tys. najemnych robotników) raczej nie znajdują posłuchu, gdyż futbol to wielka biznesowa maszyna miażdżąca wszelkie próby bojkotu. A FIFA dysponuje wobec ewentualnych niepokornych tak dużym arsenałem represji, że skutecznie zniechęci ich do wykopnięcia piłki na aut, i zachowania się przyzwoicie.

MARCIN PIĄTEK



Śpiewające zwycięstwo

Drugi raz w ciągu trzech miesięcy Bułgarzy poszli do urn i zagłosowali tak, że znów trudno będzie poskładać koalicję rządową. Po podliczeniu 98,9 proc. głosów zwycięzcą była populistyczna partia Taki Jest Naród, obiecująca rozliczenie skorumpowanej klasy politycznej. Szefuje jej **Slawi Trifonow**, wszechstronny piosenkarz i prezenter telewizyjny o emporii rockmana. Na drugim miejscu, ze stratą ledwie kilku tysięcy głosów, znajdował się GERB, ugrupowanie należące do tej samej szerokiej europejskiej rodziny politycznej co polskie PO i PSL. W tych wyborach chodziło głównie o to, by GERB zmarginalizować. Do parlamentu wejdzie co prawda sześć ugrupowań, ale pięć z nich zyskiwało na krytyce wieloletnich rządów GERB-u.

Jego lidera Bojko Borysowa, kiedyś osobistego ochroniarza generała Todora Żiwkova, obwiniają o konserwowanie patologicznego systemu. Przez lata – wzorem Viktora Orbána – korzystał z parasola ochronnego, jaki dawało członkostwo we współzrządzającej unijnymi instytucjami Europejskiej Partii Ludowej. W Brukseli przemykano oko na wódrówki unijnych funduszy na prywatne konta. Obywatele w zeszłorocznych masowych protestach dali znać, że mają już dość powszechnego łapownictwa. Teraz przed wyborami policja tropiła próby kupowania głosów i na wszelki wypadek głosowano za pomocą maszyn, by wykluczyć fałszerstwa na etapie liczenia kart.

Ochotę na sojusz z Trifonowem zgłosiły dwie niewielkie koalicje wyborcze Demokratyczna Bułgaria (częściowo, jak GERB, też w europejskiej chadecji, częściowo u Zielonych) oraz antyelitarna Wyprostuj się, Precz z Mafią. To wciąż za mało głosów, wiąże się z ryzykiem rządu mniejszościowego albo zbudowaniem niestabilnej większości, która nie zdoła przełamać bułgarskiego kryzysu politycznego. Tym bardziej zagmatwanego, że jeszcze przed ogłoszeniem wyników Trifonow wystąpił z ultimatum: nie chce żadnych układów, nie zostanie premierem, domaga się za to akceptacji dla jego kandydata (Nikołaja Wasilewa, byłego ministra i finansistę) i dla rządu fachowców, głównie młodych i z dyplomami zagranicznych uczelni, dorzucił też listę priorytetów gabinetu. Fiasco rozmów oznaczało kolejne wybory i pójdzie drogą Izraela. Tam do utworzenia rządu potrzebowano czterech głosowań w dwa lata oraz karkołomnej umowy koalicyjnej.

Haiti się pograża

Po zabójstwie prezydenta, w pogłębiającym się chaosie, władze Haiti wystąpiły do ONZ i Stanów Zjednoczonych o przejęcie opieki nad infrastrukturą kraju. Prezydent Jovenel Moïse został zastrzelony nocą w swojej rezydencji przez trzydziestoosobową bojówkę Kolumbijczyków, pewnie na zlecenie któregoś z rywali. Opozycja utrzymywała, że już dawno skończył kadencję, a ościągł się z rozpisanem wyborów, parlament nie działał, premier był tymczasowy, a przewodniczący Sądu Najwyższego zmarł na covid.

Wydaje się, że nad Haiti wisi jakaś dziejowa klątwa. Od uzyskania niepodległości w 1804 r. (Haiti daleko wyprzedziło wszystkich innych w regionie) 24 z 36 kolejnych przywódców zostało obalonych siłą lub zamordowanych, kraj przeżył 30 lat okrutnej despotii. I kolejne 30 – stopniowo gasnących nadziei na wzrost gospodarczy (nadal 60 proc. społeczeństwa żyje poniżej granicy ubóstwa) i demokratyzację. Haiti zaliczało kolejne fazy upadku, pogłębianego serią klęsk żywiołowych, w tym tragicznego trzęsienia ziemi w 2010 r., w którym zginęło ponad 200 tys. ludzi i które do reszty zrujnowało kraj, utrzymywany głównie dzięki pomocy międzynarodowej i – przez lata – wsparciu sił pokojowych ONZ.

Moïse miał swój udział w staczaniu się kraju, gangi stały się silniejsze niż policja, plągały porwania dla okupu, popękały więzi społeczne, a ludzie coraz rozpaczliwiej walczyli o przetrwanie. Na 11 mln mieszkańców przypada tutaj 300 specjalistycznych łóżek szpitalnych i nie ruszył program szczepień, bo trudno spełnić warunki techniczne (po sąsiedztwie, we współzamieszkującej Hispaniolę Dominikanie, ponad 50 proc. dostało przynajmniej pierwszą dawkę). Nawet skrajny optymista chyba nie zauważyłby tu żadnego światła w tunelu.



Jak się sędzi kardynałów

Jeszcze w lipcu rusza bezprecedensowy proces kryminalny przed watykańskim Trybunałem. Nie dotyczy pedofilii, tylko wielkich finansowych przekrętów. Formalne zarzuty wysunięto po dwuletnim śledztwie przeciwko dziesięciu osobom, w tym kardynałowi **Angelo Becciu**. Oskarżeni mieli dopuścić się malwersacji i innych przestępstw finansowych na szkodę Watykanu. Wpompowali 350 mln euro w projekt deweloperski w Londynie. Część tej kwoty miała pochodzić z tak zwanego świętopietrza, corocznej daniny zbieranej w Kościele Powszechnym na charytatywne potrzeby

watykańskiej centrali. Dysponentem tego funduszu jest watykańska „kancelaria premiera”, czyli Sekretariat Stanu. Jej przedstawicieli nie ma na liście oskarżonych. Sam papież miał zaaprobować inwestycję, ale mógł nie znać całej prawdy o niej. Becciu, zdymisjonowany w zeszłym roku za podejrzenie o nepotyzm, zachował tytuł (otrzymał dwa lata temu od Franciszka), ale pozbawiono go praw związanych z tytułem. W tym do udziału w konklawe. Wszyscy oskarżeni odrzucają zarzuty



i oczekują niewinnienia. Proces pokaże, czy Franciszkowi powiodła się nie tylko reforma watykańskich finansów, ale i watykańskiego sądownictwa. Finanse mają być przejrzyste, wymiar sprawiedliwości – niezależny, choć podległy papieżowi i respektujący prawo kościelne. Watykan zatrudnia kilkadziesiąt osób świeckich i ma swoje odpowiedniki świeckich sądów oraz prokuratury. Ma kodeks karny, żandarmerię, policję sądową, a także cele dla czasowo aresztowanych. Nie ma kary dożywocia ani własnego więzienia; w razie potrzeby korzysta z usług więziennictwa włoskiego. Bardzo prawdopodobne, że skorzysta z nich po wyrokach w tym procesie.

Wakacje w smartlandii

Tak demokratycznych wakacji jeszcze nie było, większość dzieci, niezależnie gdzie mieszka i jak bogatych ma rodziców, spędza je w tym samym miejscu – smartfonie. Tam czeka wiele nowych, nieznanych dotąd pułapek.



ILUSTRACJA MARTA FREJ

KATARZYNA ZDANOWICZ

Płaża nad Gopłem. Dziewczęta i chłopcy rzędem, wyłożeni na kocach, głowy zadarte w górę, palce sprawnie suną po ekranach smartfonów. Nastoletni plażowicze milczą. Obojętni na żar z nieba, jezioro mogłoby dla nich nie istnieć. Żaden nie wypuści z dłoni telefonu na dłużej niż trzy sekundy potrzebne do odgonienia komarów. Śmieją się, wkurzają, dziwią, integrują, nie z sobą, tylko

ze swoimi telefonami. Wszyscy razem, każdy osobno. Takie scenki można zaobserwować nad morzem, w górach, w Polsce i w zagranicznych kurortach. – *I co w tym dziwnego?* – pyta 12-letnia Lena. – *Szczerze? To jadę do tej Chorwacji tylko dlatego, że muszę. Mało się z mamą i tatą nasiedziałam przez ten rok w domu? Na siostrę to nie mogę patrzeć, w wakacje bym chociaż od niej odpoczęła.*

Rodzice Leny liczą, że w Chorwacji uda im się złapać na nowo realny kontakt, telefon pójdzie w ką. Nie ukrywają, że sytuacja

ich trochę przeraża. – *Córka ciągle pisze tam jakieś posty, robi zdjęcia wszystkiego, nagrywa nawet śpiącego kota. Z koleżankami się specjalnie nie odwiedzają, mówi, że nie ma po co wychodzić z domu, jak wie wszystko, co u niej słychać, z telefonu* – w głosie mamy słychać podenerwowanie. – *Żeby to poprawić, kupiliśmy Chorwację, może jak wyjedzie dalej od domu, to się oderwie od telefonu, odpocznie, pozwiedza, wróci inna.* Lena tylko się uśmiecha, bo ma plan, jak przekuć wyjazd w smartfonowy sukces: – *Jedyny plus z tego to materiał na fame, będzie co nagrywać i fotografować. Zasypię Insta, niektórzy pękną z zazdrości.*

Krzysiek, dwa lata starszy od Leny, na tygodniowe wakacje w Turcji też ma jasno sprecyzowane plany – będzie grał w „Battlefielda 2042”. – *Dostałem w prezencie za świadectwo, to trzeba skonsumować prezent* – mówi. – *Jak mama powiedziała, że w hotelu jest Wi-Fi i klima, nawet się ucieszyłem. Jakoś przetrwam.*

Krajobraz po burzy

Z ostatnich wielkich badań CBOS opublikowanych tuż przed Covid-19 wynikało, że 70 proc. Polaków to zapaleni internauci, z czego w przedziale do 24. roku życia – 98 proc.! Wtedy przyszła pandemia. Dzieci i młodzież zamknęli się w pokojach. Pod kocami, przy biurkach, legowiskach skleconych gdzieś na podłogach, setki dni i nocy, tysiące godzin przy komputerach i smartfonach. Na kilkanaście miesięcy świat realny przestał dla nich istnieć. Pandemia zalegalizowała przejście do cyfrowego świata.

– *Na który i tak jesteśmy skazani* – zwraca uwagę Magdalena Bigaj, wiceprezes Fundacji Dbam o mój z@sięg. – *Nie rozpamiętujemy, jak było 15 lat temu. Wyjście na podwórko przestało być fascynujące, większości nie kręci zabawa w podchody czy obserwowanie roślin w lesie.* Bigaj zwraca uwagę, że rodzice nie potrafią radzić sobie w nowych czasach, nie potrafią zaproponować alternatywy dla wirtualnej rzeczywistości.

Nie przenikają do ich cyfrowego świata. Dzieci zaś nie mają samokontroli nad coraz bardziej postępującym uzależnieniem od sieci. Ta funkcja obronna w naszym mózgu rozwija się silnie dopiero w trzeciej dekadzie życia. Teraz, kiedy epidemia przysnęła, wirtualna powódź odpuściła, powoli wyłania się krajobraz po burzy. Do roboty zabrali się eksperci, badający, jak koronawirus zmienił świat. Jednym z efektów ich badań jest kompleksowy raport specjalistycznego portalu Socialpress, analizującego media społecznościowe pt.: „Cyfrowe dzieciństwo. Jak chronić dziecko w sieci”. To pierwsza, choć pewnie nie ostatnia, tak dogłębna diagnoza tego, co z umysłami naszych dzieci zrobił internet w dobie pandemii.

Smartfon, część mojego ciała

Liczyb szokują – według międzynarodowego badania Ipsos przeprowadzonego na zlecenie Google i opublikowanego w 2021 r. przez ostatnie dwa lata czas korzystania z sieci wydłużył się dla dzieci, dziennie, średnio o półtorej godziny. Niemalże 90 proc. uczniów spędza w internecie minimum 3–4 godziny dziennie. Im starsze dziecko, tym więcej. Młodzież w wieku 12–15 lat, a więc również ci, którzy leżeli przede mną na kruszwickiej plaży nad Gopłem, potrafia serfować nawet 8 godzin.

Z telefonem się budzą i z telefonem zasypiają, do czego przystąpiło 66,5 proc. młodych ankietowanych przez ekspertów z Fundacji Orange (szczegółowe wyniki można znaleźć w raporcie Socialpress). Nie dotyczy to oczywiście tylko młodych – według przywołanych badań mamy w Polsce prawie 32 mln internautów i aż 26 mln użytkowników mediów społecznościowych (styczeń 2021 r.).

Kiedy w połowie lat 90. XX w. dr Dan Herman, amerykański strateg marketingowy i badacz trendów społecznych, przygotowywał materiały do artykułu naukowego w „The Journal of Brand Management”, nie przypuszczał, że właśnie definiuje nowe, globalne

zagrożenie. To on jako pierwszy, jeszcze w erze przedinternetowej, użył terminu FOMO (Fear of Missing Out), opisując lęk przed odłączeniem młodych od społeczności, grupy, wspólnoty. Dzisiaj FOMO to ten sam strach, ale już głównie przed wykluczeniem ze wspólnoty wirtualnej, nie realnej.

Naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego już w 2019 r. znaleźli dowody, że w Polsce FOMO doświadcza już co piąty nastolatek niezależnie od płci. Eksperci z Państwowego Instytutu Badawczego NASK idą dalej i stawiają tezę, że co trzeci polski nastolatek nie jest w stanie wytrzymać kilku godzin bez używania telefonu.

Oddajmy głos nastolatkom. Oto cytaty z prac, które napłynęły na konkurs zorganizowany w pandemii przez Miasto Bydgoszcz. Uczniowie mieli uzasadnić, za co kochają/nienawidzą media społecznościowe.

Magda: „Z niepokojem zauważyłam, że smartfon stał się już niemal częścią mojego ciała. Zасыpiam ze smartfonem koło głowy i rano tuż po przebudzeniu po niego sięgam. Odczuwam niepokój, kiedy nie mogę go znaleźć. Podobne wrażenia mają moi znajomi”.

Sandra: „Media społecznościowe są ze mną od dzieciństwa. Gdy byłam w podstawówce, dostałam pierwszy smartfon. Wtedy wszystko się zaczęło. Dziewczyny chwala się nowym ciuchem, makijażem i nie tylko. Chłopaki używają ich do rozmów podczas gier. Każdy, kto posiada na swoim telefonie fejsa, przyzna mi rację, że można tam znaleźć wszystko o danej osobie. Media pozwalają skupić się młodzieży na rzeczach, które zawsze były dla nich ważne: sekrety, wizerunek i wygląd. Social media mają pozytywny wpływ na ludzi, są czynnikiem wpływającym i wzmacniającym poczucie wartości człowieka, co przekłada się na pozytywną samoocenę. Dzięki nim można pielęgnować swoje znajomości. Mimo tego, że wolę kontakt face to face, nie mogłabym bez nich żyć”.

Codziennie nowe zagrożenia

Aleksandra Piotrowska, psycholog, uważa, że wakacje to świetny czas, żeby dokonać rodzinnych audytów i odpowiedzieć na pytanie, w jakim miejscu się znaleźliśmy. – *Jak funkcjonujemy po tych ciężkich miesiącach? Spójrzmy obiektywnie, z dystansu, w jaki sposób spędzamy dzień. I spiszy wyniki na kartce. W ten sposób uzbroimy się w argumenty.*

Doktor Piotrowska dodaje, że ten wewnętrzny bilans ma być wstępem do dalszej rozmowy. I to niełatwej, bo wirtualny świat bardzo mocno stymuluje mózg. Gry komputerowe, social media mocno oddziałują na nasz układ nagrody w mózgu, w którym głównym neuroprzekaznikiem jest dopamina. Gdy zaczyna jej brakować, zaczynamy szukać tego, co sprawia nam przyjemność.

Jakich argumentów użyć, żeby wygrać z tak atrakcyjnym, wciąż się zmieniającym przekazem, który czeka np. na nastolatka na Instagramie, YouTube czy TikToku? – *Przed wszystkim spójrzmy surowo na siebie i swoje postępowanie. Dzieci przejmują wzorce od rodziców i to dotyczy również korzystania z internetu* – podkreśla dr Piotrowska. Trzeba liczyć się z tym, że przekonywanie nastolatka do ograniczenia życia w sieci przypomina walkę z wiatrakami. Głównie z powodu nacisku rówieśników grupy, silnej, dużo bardziej wpływowej niż rodzice czy dziadkowie.

Aleksandra Piotrowska: – *Jak dziecko ma stanąć przed rówieśnikami i powiedzieć: „Ja nie oglądam TikToku”? To by było w złym tonie! Natychmiastowe wykluczenie! I nic nie zmienia faktu, że legalnie można się tam zalogować od 13. roku życia. Takimi obostrzeniami dawno nikt się nie przejmie.*

Sam TikTok przyznaje, że aż 25,6 proc. użytkowników w Polsce nie skończyło jeszcze 15 lat. Facebook czy Instagram nie chwali się takimi statystykami. Eksperci od bezpieczeństwa w sieci przestrzegają, że tolerowanie łamania regulaminu to bardzo niebezpieczny nawyk, usypiający czujność. A przecież internet jest ►

► emanacją świata – z dobrodziejstwem i wieloma pułapkami. Przez swoją nieostrożność sami prowokujemy kłopoty. Tym bardziej że wielu zagrożeń nie znamy, bo sieć wciąż ewoluuje i codziennie przynosi nowe zjawiska. Warto spojrzeć w raport Socialpress, żeby je zdefiniować i mądrze się przed nimi uchronić.

Maluszek zbiera lajki w brzuszku

Zacznijmy od *sharentingu*, czyli zjawiska, które w wolnym tłumaczeniu można nazwać „dzieleniem się rodzicielstwem”, szczególnie intensywnego w okresie wakacyjnym. Każdego dnia rodzice udostępniają w sieci miliony zdjęć z życia swoich pociech. Możemy niemalże na żywo obserwować na Facebooku czy Instagramie, jak dzieci sąsiadki jedzą, tańczą, mówią wierszyki, kąpią się, świętują urodziny itp. Ten sieciowy ekshibicjonizm z roku na rok jest coraz bardziej popularny, co świetnie wyczuwają producenci smartfonów i twórcy aplikacji. Robią ogromny biznes na wciąż ulepszanych aparatach montowanych w telefonach oraz na filtrach i ulepszaczach zdjęć, tuszujących wszelkie niedociągnięcia.

Z raportu „Sharenting po polsku, czyli ile dzieci wpadło do sieci?” wynika, że już 40 proc. rodziców zamieszcza w social mediach zdjęcia i filmiki z dorastania swoich maluszków. Średnio wrzucają do internetu 72 zdjęcia i 24 filmiki rocznie. Oczywiście nie mają na to zgody swoich dzieci i nie zwracają uwagi na ich wiek. O dziwo rodzice posuwają się do takiej kradzieży nawet jeszcze przed narodzeniem dziecka, kiedy zamieszczają w sieci zdjęcia ultrasonograficzne.

Anna Brosch z Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, która prowadzi badania nad sharentingiem, twierdzi, że to nic innego jak okradanie ich z prywatności. Zdaniem dr Brosch odbierają dziecku jedno z najistotniejszych praw – prawo do bycia zapomnianym, nieobecny w sieci. Ale też sami wpływają na zagrożenie dziecka, bo przecież nie jest tajemnicą, że osoby o skłonnościach pedofilskich właśnie w mediach społecznościowych szukają swoich ofiar. Warto przy okazji przypomnieć ustalenia śledczych badających siatkę pedofilów w Australii. Większość zdjęć roznegliżowanych dzieci – ok. 25 tys. – dostarczyli sami rodzice, umieszczając je na facebookowych i instagramowych kontach. To były „relacje” z placów zabaw, plaży, rodzinnych wypadów za miasto czy nawet zakładania dzieciom pieluch. – *W Kanadzie są już pierwsze pozwody dzieci, które ukończyły 18 lat wobec rodziców, którzy bezprawnie wykorzystali ich tożsamość cyfrową dla zaspokojenia swoich celów* – twierdzi dr Brosch.

Po pandemii sharenting dosłownie rozkwita we wszystkich mediach społecznościowych. Jesteśmy głodni wakacji, wrażeń, odpoczynku, wyjazdów, a co za tym idzie – powiadomienia o tym świata. Więc fotografujemy i udostępniamy wakacyjny pokój maluszka, spacer, kąpanie, obiadek, bujanie na huśtawce, każdą wycieczkę itp. Facebook i Instagram są dosłownie zalane tego typu filmami i zdjęciami. Trudno się zatem dziwić, że dzieci, obserwując rodziców, pędzą do życia w sieci. Na początku to dorośli dają przykład. Potem, gdy naszą rolę przejmie grupa rówieśnicza, jest coraz trudniej. Bowiemy starsze dzieci, już w wieku nastoletnim, nie potrzebują rodziców, żeby relacjonować online każdy punkt swojego dnia. Oczywiście nie myślą przy tym o negatywnych konsekwencjach, czyli możliwości wzięcia na cel przez szukających swoich ofiar w internecie pedofilów. To zjawisko ma swoją nazwę – *grooming*. I latem, w dużej mierze przez niefrasobliwość użytkowników mediów społecznościowych, szczególnie intensywnie można je zauważyć.

Eksperci i rodzice zwracają też uwagę na cyfrową seksualizację dzieci. Mama 13-letniej Oli musiała zablokować konto córki na Instagramie. – *Zobaczyłam ją w bieliźnie wyginającą się do jakiegoś teledysku i oniemiałam. Dziewczyna jest rozwinięta,*

już fizycznie kobieta, ale po nałożeniu tych wszystkich filtrów wyglądała, jakby była o 10 lat starsza! Prawie jej nie poznałam! – mówi Małgorzata. Teraz już wie, że z filtrów do obróbki zdjęć korzystają nawet 8-latk. Nie akceptują swojego wyglądu, odbiega od instagramowego wzorca piękna.

– *Niestety, czas pandemii nie został spożytkowany na wyostrzenie uwagi młodych na takie niepokojące trendy* – zauważa Magdalena Bigaj z Fundacji Dbam o mój z@sięg. – *Nie znamy higieny cyfrowej. Potrzebny jest nam przedmiot przygotowania do życia we współczesnym świecie. Cyfrowe obywatelstwo istnieje w krajach anglosaskich. Trzeba wziąć z nich przykład.*

Na tych lekcjach nauczyciele mogliby też przestrzec uczniów przed cyberbullyingiem, czyli znęcaniem się psychicznym z użyciem technologii informacyjnych i komunikacyjnych. O tym, że zagrożenie jest realne i w pandemii rozkwitło, wiemy m.in. z ogólnopolskiego badania uczniów „Nastolatki 3.0”. Aż jedna trzecia nastolatków (32 proc.) spotkała się z wyzywaniem za pośrednictwem internetu, a jedną piątą (19,4 proc.) dotknęło poniżanie i ośmieszanie. Co dziesiąty deklaruje, że przez internet był szantażowany (11 proc.) i straszony (13,6 proc.). Z rozpowszechnianiem kompromitujących materiałów na swój temat spotkał się co dziesiąty uczeń (12 proc.) i podobna liczba nastolatków doświadczyła próby podszywania się pod swoją tożsamość (12,6 proc.). – *W lockdownie sieć była jedynym miejscem, gdzie dzieci mogły rozładować swoje emocje, złość, frustrację* – mówi psycholog Aleksandra Piotrowska. – *Dzisiaj już mogą się przenieść z tym bagażem do świata realnego, ale niezbyt potrafią to zrobić. Spodobało im się tkwić w wirtualu i wciąż tam siedzą. Na plaży, na kocu, na materacu, nad Morzem Bałtyckim czy Adriatyckim, ale przede wszystkim w swoim telefonie.*

Robią to nie tylko dla fejmu i akceptacji. W sieci wtapiają się w świat, którego nigdy nie znajdą w realu. Budują swoje małe społeczności. Według „Digital 2021: Poland report” wiemy, co dokładnie młodzi wyszukują w sieci. Oglądają Wojana, Kamusia, Vito, Ekipy Friza. Tworzą swoje małe kompletne światy w „Minecraftie” i popularnym „Fortnite”. To coś więcej niż gry. To świat najróżniejszych doznań, z własnymi wewnętrznymi regułami. Jest rywalizacja, zabawa i walka.

Odwrócone role

Te wakacje są szczególne nie tylko dlatego, że ruszyliśmy na nie wyposzczeni po pandemii. Głodni morza, gór, jezior, ludzi, knajp, kin zerwaliśmy się z pandemicznej smyczy, żeby kosztować życia. Ale role się odwróciły. Kiedy uważnie się przyjrzyć wielu wspólnie wypoczywającym rodzinom, to ojciec i matka nie kryją podekscytowania plażą, deptakiem, zwiedzaniem. Dzieci są z nimi, razem, ale obok, bardziej w swoich smartfonach niż w rodzinach. Oni są na swoich pierwszych w życiu cyberwakacjach. Eksperci podkreślają – to będzie pierwsze pokolenie, które po kilku latach da nam odpowiedź na pytanie, jak bardzo cyfrowy świat wpłynął na ich życie. Czekając na wyniki, nie radzą siedzieć z założonymi rękami.

Przeciwnie. Radzą, by te wakacje były szansą do zrobienia rodzinnego rachunku sumienia, zaczynając od prostego wyliczenia – ile czasu spędzamy ze sobą na rozmowie, a ile na komputerze czy telefonie. Żeby rachunek miał sens, demokratycznie powinien dotyczyć dzieci i rodziców.

Tymczasem nad Gopłem zaszło już słońce. Rodzinka zwija się z plaży do domu, dziewczynka popłakuje, że mama wyłącza bajkę i pakuje tableta do torby. Młodzi rozpalili ognisko, rozsiadają się w kręgu, łapią swoimi smartfonami jak najlepsze ujęcie skwierczącego ognia. Pewnie za chwilę relacje z ogniska pojawią się na Facebooku i Instagramie.

KATARZYNA ZDANOWICZ
Autorka jest dziennikarką TVN24.